Kraków. 23-go Maja 1908 r.

Rok 4. Nr. 11.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do Nr. 21 „Prawdy.“

Słowem i pieśnią.

Wyspy Wielkiej Brytanii, Anglia ze Szkocyą i Irlandya, zamieszkane były przez plemiona celtyckie, pokrewne Gallom mieszkańcom dzisiejszej Francyi. Jeszcze przed Narodzeniem Chrystusa, Brytania południowa została zawojowawaną przez Rzymian, którzy tam założyli grody obronne i zostawili załogę; niedługo jednak Rzymianie panowali w Anglii: inne kraje cesarstwa zajmowały ich uwagę; Anglia odosobniona, oddzielona od Gallii kanałem, a właściwiej mówiąc, morzem Lamansz, została zaniedbaną. W drugim wieku naszej ery*) chrześcianie zanieśli „wesołą nowinę“ do Brytów, ale byli oni nieliczni i mało rozszerzali religię świętą. Nie było tam prześladowań i męczeństw, ale nie było również zapału i oddania się sprawie Chrystusowej. Szkocya, zamieszkana przez Piktów i Szkotów i Irlandya były zupełnie pogańskie. Dopiero w połowie piątego wieku papież wysłał misyonarzy do Irlandii, usiłowania mało przyniosły korzyści; Irowie łagodni, ale uparci, bogów swoich odstąpić nie chcieli. Prawdziwym patronem Irlandyi i misyonarzem wielkiej zasługi był Św. Patryk.

Pochodził on ze szlachetnej rodziny chrześcijańskiej, w południowej Frankonii. Od najmłodszych lat lubił przebywać nad brzegiem morza, lub w łodzi zapuszczać się na drobne wysepki; to go zgubiło, a raczej to wpłynęło na przyszłość jego i całej Irlandyi.

*) Era — okres czasu od ważnego zdarzenia rachowany. W całym świecie czas liczą od Narodzenia Chrystusa — to się nazywa era chrześcijańska.

Szkotowie zajmowali się korsarstwem, to jest rabunkiem na morzu: na niewielkich łodziach żaglowych, po kilku lub kilkunastu, uwijali się po morzu i wybrzeżach, chwytali łodzie rybackie i statki kupieckie, rabowali zdobycz, ludzi, jeżeli się im nie opierali, zabierali do niewoli i sprzedawali możnym panom lub wypuszczali za okupem; opornych zabijali.

Nie było na takich korsarzy żadnego prawa, żadnych sądów, chyba że silniejsze statki pokonywały napadających rabusiów.

Podczas jednej wycieczki, młody, zaledwie 16-letni Patryk, został pochwycony razem z pięcioma towarzyszami; korsarze zawieźli swoich jeńców na północ Irlandyi i tam sprzedali jako niewolników. Każdy dostał się innemu panu; Patryka zaprowadzono do jakiegoś księcia. Dumny pan nie wiele zajmował się nieszczęściem chłopaka: w owe czasy zabranie gwałtem i sprzedanie jeńca było rzeczą tak zwyczajną, że to nikogo ani dziwiło, ani gorszyło. Patryka przeznaczono do nadzoru stad książęcych. Spełniał swoje obowiązki starannie i szukał pociechy w modlitwie; a pociecha była mu bardzo potrzebną. Samotny wśród obcych, prawie dzikich pogań, tęsknił Patryk za ojczyzną, rodziną, kościołem, słowem Bożem i zupełnie innem życiem, do jakiego przywykł od dzieciństwa. Kochająca matka i siostry, ojciec — rycerz szanowany, starsi bracia i kapłan staruszek — nauczyciel i przyjaciel, i ten dom najmilszy i wierni słudzy śnili mu się w snach i na jawie. Długich sześć lat niewola trwała i byłaby do końca życia się przeciągnęła, gdyby nie odważna ucieczka, którą się ratował Patryk. Ciągle myślał o ucieczce, lecz lękając się grzechu oszukania ufających mu już ludzi, biedny chłopak wahał się, odkładał i nareszcie zamiar spełnił. Uciekł w noc ciemną, kierując się ku morzu, modląc się i opiece Boskiej polecając swój los. Przybiegł na wybrzeże, kiedy okręt francuski miał odpływać; opowiedział w krótkości swą niedolę i zabrano go niezwłocznie. Jakaż była radość rodziców, gdy opłakiwany syn powrócił! Zrazu nie poznali go: wyrósł, ogorzał, z chłopięcia stał się młodzieńcem o smutnych zawsze zamyślonych oczach.

Niewola przyzwyczaiła Patryka do milczenia i rozmyślań. Nie chciał się uczyć ćwiczeń rycerskich; wolał naukę w cichych murach klasztornych. Uprosił rodziców, że mu pozwolili wstąpić do szkoły duchownej w Okser. Dziwna rzecz! po powrocie szczęśliwym z niewoli nie mógł jej zapomnieć i ciągle myślał o tej ziemi pięknej, chociaż ubogiej, o ludności poczciwej, ale w pogaństwie żyjącej i żal ściskał to zacne, młode serce. Uczył się z myślą, że zostanie misyonarzem i powróci do Irlandii, aby nawracać i światłem wiary rozpędzić ciemnotę pogaństwa. Rodzina nie chciała zgodzić się na postanowienie Patryka; bracia namawiali go, żeby został rycerzem, a jeżeli koniecznie chce służby Bożej, toż we Frankonii pełnić ją może i sam wznieść kościół lub klasztor. Patryk tłómaczył się łagodnie, ale od zamiaru nie odstąpił.

— Macie tu już gorliwych oraczy — mówił — i pole Chrystusowe pięknie uprawne, a w tej biednej Irlandii zaledwie pierwszy zagon orzą. Dopiero kilku misyonarzy poszło d kraju obszernego i to poszli ci, którzy mowy Irów nie znają! trudno im będzie dać poznać Chrystusa. Ja, znający dobrze zwyczaje i mowę irlandzką, powinienem tam wrócić.

W 432 r. Patryk przyjął święcenia kapłańskie i popłynął do Irlandyi. Udał się najpierw do miasta Armag i podczas jakiejś uroczystości pogańskiej przemówił do zgromadzonych ich mową. Mówił tak pięknie i z taką miłością o Chrystusie i Matce Najświętszej, o Męce Pańskiej i Zmartwychwstaniu, że tłum zebrany wzruszony, przejęty, prosił, aby im częściej opowiadał i zaprowadził do tego nieba, gdzie króluje ta Matka cudowna. Kilka dni lud się gromadził słuchając nauki Chrystusa i coraz więcej jej pragnął. To oburzyło kapłanów pogańskich i śpiewaków narodowych, którzy uczestniczyli zawsze w uroczystościach religijnych. „Jakiś przybysz odwraca lud od bogów, obala zwyczaje, uświęcone wiekami!.. Zemsta mu!“ — powiedzieli kapłani. — Zemsta i śmierć! — potwierdzili śpiewacy. I uknuto, jak mają zgładzić szkodliwego przybłędę.

(Dokończenie nastąpi).

Słowik i żaba.

Śpiewał słowik, mistrz nad mistrze
Piosenkę majową,
Rzucał tony coraz czystsze,
Rzucał tryle...
Czasem milknął, lecz za chwilę
Rozpoczynał pieśń nanowo,
Coraz tkliwszą i rzewniejszą,
Coraz inną, lecz piękniejszą...
Śpiewał słowik, mistrz nad mistrze
Majową piosenkę,
Rzucał tony coraz czystsze
Cudne tony...



Wielbił w pieśni swej natchnionej.
Wielbił panią swą, wiosenkę,
I melodye niósł jej w dani —
Tej przecudnej gajów pani!...
Śpiewał słowik w nocnej ciszy...
Nagle przestał...
Oto słyszy
Rechot jakiejś w stawie żaby,
Która woła, że radaby
Z nim się poznać: niech się zbliży!
Sfrunął słowik z drzewa niżej.
— Jestem — ćwirknął — na rozkazy!
— Ale nie chciej mieć urazy
Do mnie, że twój śpiew przerywam —

Zarechoce żaba czulej —
Widzisz dzisiaj tak szczęśliwa-m!
— Odtąd będziem wspólnie snuli
Piękne piosnki na dwa głosy
Niechaj żyje kunszt śpiewaczy!
— Co? Ja z tobą? — Nieinaczej
Gdy nam talent dały losy —
Dajmy poznać się na świecie
Nie oddzielnie, lecz w duecie!
Ty masz talent bezwątpienia,
Brak ci tylko wyrobienia,
Trzeba wzmocnić głos twój słaby;
Ot! bierz przykład ze mnie, żaby,
Każdy dźwięk mój — to potęga.
Choć nut wyższych twój dosięga,
Mój pełniejsze ma znów brzmienie!
Takich głosów połączenie
Doskonałe da wyniki:
Ptakom psuć będziemy szyki,
Bo gdzie się zjawimy — wszędzie
Nikt już słuchać ich nie będzie!
— Niezły pomysł! — słowik powie.
Może się i zgodzę — kto wie!
Lecz wpierw — moją jest to wolą,
Byś zaśpiewać chciała solo.
Popis żaba rozpoczęła
Sądząc, że już go ujęła.
— A co! — skrzeczy, gdy skończyła
Prawda? jaka głosu siła?
— Głos wspaniały! Ani słowa!
Przy nim mój niech w kąt się schowa,
I dlatego projekt pada —
Słowik żabie odpowiada.
— Tyś artystka jakich mało,
A ja śpiewak pospolity —
Śpiewaj sama, budź zachwyty
I występuj sama śmiało.
Po co masz ty nadaremno
Swoją sławę dzielić ze mną?

T. Pudłowski.

Mrówki.

Dzień był gorący. Maleńka mrówka, która dopiero niedawno na świat przyszła, zapragnęła obejść mrowisko.

Maleństwo czuje gorąco, ale nie umie zasłonić się od słońca. Na kopcu mrowiska panował ruch wielki. Jedne mrówki znosiły źdźbła słomy, iglice sosnowe, inne naprawiały swoje mieszkania, to znowu robiły dołki w ziemi. Były też takie, które znosiły mszycę do mrowiska.

— Dla kogo niesiecie te stworzenia? — zapytała mała mrówka jednę z robotnic.

— Dla wszystkich, — odpowiedziała zapytana krótko. — Ale odejdź, bo nam przeszkadzasz, nie mamy czasu na rozmowę.

— Z drogi! — krzyknęła inna mrówka.

Zaledwie się usunęła, gdy wtem trzy duże mrówki, niosąc wielką iglicę świerkową, zaczepiły o małą.

— O! boli, boli! — zawołała.

— Dobrze ci tak, próżniaku! — zaśmiały się inne.

Tymczasem na brzegu mrowiska jakaś duża mrówka ciągnęła skrzydło muchy. Usiadła na chwilę, by odpocząć i spostrzegła małą.

— A ty co robisz? — zapytała.

— Nic, przechadzam się.

— Patrzcie państwo! Ona przechadza się, kiedy my wszystkie tak ciężko pracujemy! Taka już duża i nie wstydzi się próżnować, kiedy tyle roboty! Chodź, wezmę cię w naukę.

— O! bardzo tego pragnę, bo nudzi mi się bez zajęcia.

— No, to biegnij za mną.

Młoda mrówka ledwie mogła nadążyć, ale zatrzymać się nie śmiała.

— Weź to ziarnko piasku, — pouczyła stara, — zanieś je do mrowiska, a gdy położysz, wracaj zaraz w to samo miejsce. Zabierzemy tę gałązkę.

Mała mrówka wykonała to wszystko, jak się należy z pośpiechem.

— Dla kogo to wszystko robimy? — dopytywała się mała ciekawie.

— Dla wszystkich! Nie wiesz o tem jeszcze?

— Znowu dla wszystkich! — powtórzyła młoda mrówka zdziwiona.

— Taki już nasz zwyczaj. Jeden pracuje dla wszystkich, a wszyscy dla jednego.

Wkrótce przekonała się, że to dobra zasada. Nikt jej teraz nie spycha z drogi, nikt nie narzeka, że mu przeszkadza, przeciwnie, każdy ustępuje i pomaga.

Praca koło mrowiska była ciężka, ale za to, jak miłym wydał się odpoczynek po tak pożytecznem zajęciu!

Wieczorem wszystkie mrówki gromadziły się w mrowisku i wtenczas bawiły się, śmiały i rozmawiały wesoło i swobodnie.

Piękna to nauka, dla was kochane dziateczki.

OWADY.

Pewnego razu potężna wróżka odebrała od złego czarownika mnóstwo cudownych klejnotów, drogich kamieni, złota, pereł i innych ślicznych rzeczy. Zebrała je w swój płaszcz i poleciała cicho na ziemię, powiewając długiemi piórami swych skrzydeł. Wtem w powietrzu, wysoko, zadzwonił piosenką skowronek. Wróżka tak się zasłuchała w śpiewie ptaszyny, że w zamyśleniu wypuściła z ręki koniec płaszcza i wszystkie klejnoty posypały się na ziemię.

Dobra wróżka zmartwiła się bardzo; myślała, że karzełki, wierni jej słudzy, będą mieli dużo roboty ze zbieraniem skarbów. Zasmucona, spuściła się na ziemię i usiadła nad strumykiem. Wkrótce przyszło tam dwoje dzieci, braciszek i siostrzyczka, które zaczęły zrywać niezapominajki. Nagle braciszek wydał okrzyk zdumienia i podniósł z ziemi jeden z upuszczonych przez wróżkę klejnotów: olbrzymi, cudowny szmaragd.

— Ach! jaki śliczny kamyczek! — wołały ucieszone dzieci i zaczęły się nim bawić.

— Ten kamień jest bardzo piękny, — powiedziała w końcu siostrzyczka, lecz jabym wolała, żeby miał skrzydła i latał i błyszczał w słońcu.

Wówczas wróżka pomyślała sobie, że przecież tylko bogaci ludzie mają drogie kamienie, i klejnoty.

— Stworzę takie klejnoty. — rzekła do siebie, — które wszyscy ludzie będą mogli podziwiać, które będą i dla biednych i dla bogatych, i dla małych dzieci. Niech latają w słońcu i błyszczą!

I wzniosła różdżkę czarodziejską ze słowem zaklęcia, a wnet wszystkie drogie kamienie uleciały w powietrze w postaci motylów, ważek, złocistych żuków i t. d. błyszcząc w słońcu wszystkiemi barwami tęczy.

Gdy przypatrzymy się ślicznej bożej krówce, wspaniałemu motylowi, zielonawemu złotawcowi, czyż nie wydają się nam te owady dziwnemi stworzeniami, jakby rękami wróżek ukształtowanemi? Czyż nie podobne do dyamentów przezroczyste skrzydełka ważek? Czyż nie równie piękne, jak korale, turkusy, zielone szmaragdy, żołte bursztyny i liliowe ametysty są motyle i żuki? A czy nie cudownie zbudowane przez Stwórcę jest ich ciało?

Ich szczęki, ich nóżki i oczy tak małe, iż często cały owad ledwo dostrzedz można, a jak każda część dobrze obmyślana! Malutka nóżka składa się podobnie, jak nasza noga, z kilku części, które zginać się mogą. Ich twardy pancerz chroni je od ciosów. Często głowa opatrzona jest trąbką do wysysania soku z kwiatów, jak n. p. u motylów, często mały skrzydlaty wojownik posiada żądło do bronienia swej własności, jak n. p. pszczoły i osy.

Ale jeżeli latające drogie kamyczki z czasem, oprócz skrzydełek, zaczęły mieć kłujące narządy, to nie ich wina. Niestety, ludzie nie poprzestali tylko na przypatrywaniu się owadom. Ileż to razy psotne ręce nierozważnego chłopczyka albo dziewczynki oderwały skrzydełka i nóżki biednemu owadowi!

